

MyApple

magazyn

6



Jak ryba
w wodzie?



**MyApple
Poleca**

SPRAWDŹ W NASZYM SKLEPIE



MyApple magazyn

Nr 6/2019(39)
ISSN: 2080-4776

MyApple Magazyn

Wydawca:
MyApple s.c.
Kaliska 10
97-400 Bełchatów
NIP: 769-221-98-23
tel: 666 493 493

kontakt: magazyn@myapple.pl

 /MyApplePL

Skład redakcji:

Redaktor Naczelny:
Krystian Kozerański

Redaktorzy:
Jacek Zięba, Grzegorz Świątek, Max Pijanowski, Patryk Wikaliński, Kinga Zielińska, Adam Liszewski, Bartek Mazurek, Krzysztof Kurdyła
Michał Mastowski, Steve Sande, Daniel Świątły, Rafał Pawłowski, Marek Gawryłowicz, Jacek Swoboda

Korekta
Agnieszka Kozerańska, Marcin Latosiński

Layout, skład, aplikacja:

Ideeconcept.pl

Michał Gapiński, Radek Szwarz i zespół

Treści i grafiki publikowane w MyApple Magazyn są chronione prawem autorskim wydawcy oraz ich autorów, a także osób trzecich.

Znaki towarowe umieszczone w MyApple Magazyn podlegają ochronie prawnej.

Wykorzystanie z materiałów o których mowa wyżej jest zabronione bez pisemnej zgody autora lub wydawcy.

Ilustracje publikowane w MyApple Magazyn mogą stanowić własność osób trzecich. Źródła: Jonathan Zuffi, Apple.com, Pixabay.com, prywatne archiwa autorów, archiwum Redakcji



No i doczekaliśmy się końca wakacji, a już niedługo, za niecały miesiąc, skończy się lato. Na szczęście będzie to dla wszystkich fanów marki Apple i szerzej technologii okres niezwykle gorący. Już 10 września firma pokaże nowe produkty, w tym z pewnością nowe modele iPhone'ów. Kilka dni później można spodziewać się premiery nowych systemów operacyjnych iOS 13 i macOS Catalina. Jeszcze wcześniej, bo w przyszłym tygodniu, w Berlinie rozpoczną się największe w Europie targi elektroniki konsumentskiej - IFA, gdzie oczywiście się wybieramy.

Aby umilić Wam czas oczekiwania na te wszystkie ekscytujące wydarzenia, mamy dla Was nowy numer naszego magazynu z wieloma interesującymi tekstami. Michał Masłowski, nasz ekspert od rynków, analizuje najnowsze wyniki finansowe Apple. Bartek Mazurek zastanawia się, czy naprawdę potrzebujemy nowego MacBooka Pro, o którym krążą różne pogłoski. Z kolei Marek Gawryłowicz marzy o klasycznym modelu iPhone'a, który nawiązywałby do urządzeń sprzed kilku lat. Nie każdy potrzebuje coraz większego modelu, który trudno obsłużyć jedną ręką.

W najnowszym numerze znajdziecie także kilka tekstów autorstwa mojej nieskromnej osoby, m.in. recenzję biografii Tima Cooka pióra Leandera Kahneya, a także testy kilku ciekawych nowych produktów dla każdego „Apple Usera”.

Jak zwykle życzę Wam miłej lektury.

Krystian Kozerawski
MyApple Magazyn

Ryba wyjęta z wody,
czyli o uzależnieniu od ekosystemu Apple _____ 5

Leander Kahney - Tim Cook
Człowiek, który wzniósł Apple na wyższy poziom _____ 8

iPhone Pro?
Nie, dziękuję. Wolałbym iPhone'a Classic! _____ 11

Czy potrzebujemy nowego
MacBooka Pro? _____ 16

Historia zatoczyła koło
iPhone odpowiada za mniej niż 50% przychodów _____ 19

Green Cell Power Source
_____ 22

Hey Siri turn on TV
- test telewizora LG OLED TV 55C9PLA _____ 25

Power Delivery
- energię podano do stołu _____ 30

NetNewsWire
- nieśmiertelny klient RSS dla Maca _____ 33

Ryba wyjęta z wody, czyli o uzależnieniu od ekosystemu Apple



Krystian Kozarewski

Co jakiś czas pytany jestem przez podcasterów czy blogerów z innych redakcji o to, czego używam i z jakich usług korzystam. Od lat jest to ekosystem Apple złożony nie tylko z komputerów Mac, iPadów, iPhone'ów i przystawki Apple TV, ale także z różnego rodzaju akcesoriów, komunikujących się z nimi za pomocą platformy HomeKit, i usług oferujących m.in. cyfrowe treści (a więc App Store, Apple Music i Apple TV, dawniej iTunes Filmy), dostęp do poczty i synchronizację plików za pośrednictwem chmury iCloud zarówno pomiędzy systemami, jak i wieloma aplikacjami. Wszystko to opiera się na mojej cyfrowej tożsamości Apple, czyli Apple ID.

Dzięki temu wszystko to działa wygodnie i sprawnie. Mogę sterować moim domem za pomocą Siri, kupować filmy, które następnie oglądam na różnych urządzeniach właściwie wszędzie tam, gdzie mam dostęp do internetu, słuchać muzyki w podobny sposób, archiwizować robione iPhone'em zdjęcia, odbierać i wysyłać maile. Zdaję sobie sprawę, że właściwie całe moje cyfrowe życie opiera się na ekosystemie Apple, a już niebawem - wraz z nowymi funkcjami iCloud (udostępnianie folderów) - zrezygnuję zapewne z szersze-

W jednej chwili stracił on dostęp do swoich filmów i muzyki, na które od 2005 roku wydał ponad 15 tysięcy dolarów,

go korzystania z niezależnej chmury plików, czyli z Dropboks. Rozwiązanie to jest na pewno wygodne, czy jednak bezpieczne z punktu widzenia użytkownika? Nie chodzi mi tutaj o zagrożenia czające się w sieci, o przestępców próbujących wykraść moje wrażliwe dane, ale o uzależnienie się od jednej firmy i tak naprawdę jednego konta Apple ID, które firma w pewnych okolicznościach może po prostu zablokować.

Ban od Apple

Muszę przyznać, że przez lata nie zdawałem sobie z tego - tak oczywistego - faktu sprawy. Otrzeźwiałem dopiero po przeczytania artykułu Luke'a Kurtisa, jednego z redaktorów serwisu [Quartz](#), który podobnie jak ja opierał się w całości na ekosystemie Apple, kręcącym się wokół konta Apple ID. To ostatnie pewne-

go dnia zostało zablokowane. Powodem było zrealizowanie karty upominkowej pochodzącej podobno z kradzieży, choć nabytej przez niego całkowicie legalnie. W jednej chwili stracił on dostęp do swoich filmów i muzyki, na które od 2005 roku wydał ponad 15 tysięcy dolarów, a także plików trzymanyh w chmurze, zdjęć, danych z kalendarza i do aplikacji, które synchronizowały swoje dane przez iCloud.

Nie ukrywam, że wspomniana wyżej suma zrobiła na mnie największe wrażenie. Ja wydałem w tym sklepie znacznie mniej. Moja kolekcja filmów w iTunes liczy kilkadziesiąt pozycji. Liczba zdjęć trzymanyh w iCloud sięga już jednak kilkudziesięciu tysięcy.

Do Bydgoszczy będę jeździł...

W tradycyjnych, analogowych sklepach i punktach usługowych otrzymujemy to, za co płacimy, na własność. Jeśli sklep, np. księgarnia czy market mediowy przestanie istnieć, to książki, płyty DVD czy Blue Ray z filmami i gramy nie znikną nam z półki. Nawet jeśli w jakimś sklepie, z bardzo różnych powodów, znajdziemy się na liście nieobsługiwanych klientów, możemy się postawić i rzucić na pożegnanie cytatem „do Bydgoszczy będę jeździł...” z filmu „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”. Możemy wszak pójść do każdego innego sklepu, bo to, co kupiliśmy w tym, do którego nas więcej nie wpuszczą, i tak znajduje się u nas na półce.

W przypadku multimediiów zakupionych w iTunes Store tak jednak nie jest. Jeśli nasze konto zostanie zablokowane, możemy - przynajmniej na jakiś, często dłuższy czas - pożegnać się z całą naszą biblioteką, na którą jako lojalni klienci moglibyśmy przez lata wydać nawet tysiące złotych. Jeśli nawet nieświadomie złamaliśmy umowę z Apple, to tym

właśnie może się skończyć. Wtedy tak naprawdę wiele zależy od tego, na kogo trafimy i jaką mamy siłę przebicia.

Redaktor Quartz walczył o odblokowanie swojego Apple ID i dostępu do kupionych przecież przez niego treści przez dwa miesiące. Odbijał się od różnych szczebli pomocy technicznej, a także osób odpowiedzialnych w Apple za bezpieczeństwo. Sprawa była właściwie beznadziejna, do momentu, kiedy napisał do Tima Cooka, przedstawiając się jako redaktor tego popularnego bloga. I choć sam CEO Apple nie odpisał, to jego konto zostało wkrótce odblokowane, otrzymał nawet przeprosiny od firmy z wyjaśnieniami. Apple oświadczyło, że jego przypadek pozwoli na usprawnienie całego procesu, by w przyszłości podobne sytuacje nie miały już miejsca.

Co by było, gdyby na jego miejscu był ktoś mniej znany, ktoś, kto nie ma pewnego publicznego posłuchu - ktoś, kto nie wywołał tzw. „kryzysu w mediach społecznościowych”? Pewnie skończyłoby się na odpowiedzi Apple, że użytkownik złamał umowę i tyle. Owszem, można by z tym iść do sądu i pewnie miałyby się szanse wygrać. Kurtis był pozbawiony dostępu do swojego konta przez dwa miesiące. W przypadku batalii sądowej na pewno trwałoby to znacznie dłużej. W tym czasie użytkownik po prostu pozbawiony byłby dostępu do swoich plików w chmurze oraz kupionych przez siebie treści multimedialnych (abonament na Apple Music można odnowić na nowym koncie lub przenieść się do Spotify, Tidal lub innego podobnego serwisu).

Windykacja w stylu Apple

Blokowanie dostępu do kupionych treści wykorzystywane jest przez Apple także w innych sytuacjach, np. kiedy opłata kartą w którymś ze sklepów w ramach tego samego Apple ID nie powiedzie się ze względu

na zbyt małą ilość środków na powiązanym z nią koncie bankowym. Zwykle trzeba wtedy zaktualizować dane karty w ustawieniach profilu. Na ten czas dostęp do kupionych filmów także może być ograniczony. Taka sytuacja zdarzyła mi się kilka razy w ostatnich latach, kiedy zapomniałem doładować kartę do zakupów internetowych, za pomocą której płaciłem w iTunes Store.

Cena wygody

Oczywiście takie przypadki nie są masowe i każdy może zakładać, że raczej nic takiego go nie spotka. Zalety ekosystemu Apple są niepodważalne - łatwy i szybki dostęp do treści multimedialnych, plików i usług właściwie z każdego urządzenia. Wygodniej i szybciej jest kupić film w iTunes Store i móc go obejrzeć w Full HD lub w 4K HDR na odpowiednim urządzeniu niż pójść do marketu mediowego czy salonu prasowego, by znaleźć odpowiednią płytę Blue-ray. Do tego jeszcze potrzebujemy specjalny odtwarzacz, którego przecież nie spakujemy do kieszeni, tak jak naszego iPhone'a. Moje poczucie wygody i bezpieczeństwa zostało jednak zaburzone. Czas pomyśleć o dywersyfikacji, a przynajmniej o tym, gdzie kupować filmy, tak by mieć do nich dostęp zawsze i wszędzie. Trzeba bowiem pamiętać, że konto użytkownika we własnym sklepie, wraz z kupionymi przez niego filmami, zablokować może także inny dostawca tego typu usług.



Leander Kahney - Tim Cook

Człowiek, który wzniósł Apple na wyższy poziom



Krystian Kozerański

Tim Cook dokonał, wydawać by się mogło, rzeczy niemożliwej. Zastąpił na stanowisku dyrektora generalnego Apple niekwestionowaną ikonę świata technologicznego - Steve'a Jobsa. Od lat, mimo ogromnej presji, rozwija tę firmę z sukcesem, stając się także ważnym liderem zmian społecznych w USA. Jego drogę, która zaczęła się w małym miasteczku w Alabamie, prezentuje Leander Kahney.

Hasło „Apple się kończy” powtarzane jest od 2011 roku niczym mantra, zwłaszcza wtedy, kiedy firma zaliczy spadek sprzedaży swoich flagowych produktów, przyzna się do problemów z jakimś elementem

Właściwie od dnia objęcia stanowiska dyrektora generalnego Cook jest celem dość powszechnej i nieustającej krytyki, zarówno ze strony niektórych fanów marki, jak i jej przeciwników, ale przede wszystkim różnej maści komentatorów. Hasło „Apple się kończy” powtarzane jest od 2011 roku niczym mantra, zwłaszcza wtedy, kiedy firma zaliczy spadek sprzedaży swoich flagowych produktów, przyzna się do problemów z jakimś elementem któregoś ze swoich urządzeń lub usług czy wreszcie cena akcji spadnie o kilka procent. Tymczasem w szerszym kontekście widać wyraźnie, że Apple wciąż się rozwija i w ostatnich latach z sukcesem weszło na nowe rynki, jak choćby smart zegarków, urządzeń medycznych i fitness (Apple Watch) czy usług finansowych (Apple Pay). Urządzenia - mimo pewnych zawahań i nasycenia rynku - wciąż sprzedają się znakomicie, a szybko rosnącą nową gałęzią przychodów są oferowane przez Apple usługi.

Prawdą jest oczywiście twierdzenie, że Apple ery Tima Cooka nie jest już tą samą firmą, jaką była w czasach władzy absolutnej Steve'a Jobsa. To nie tylko duża, światowa już korporacja, ale i kulturowy fenomen, który traktowany jest inaczej – niczym zespół rockowy pokroju The Beatles czy Rolling Stones (pisałem już o tym w jednym z poprzednich numerów MyApple Magazynu w tekście „Jeśli nie Tim Cook,

to kto?”). Dlatego też zmiany, czy to w kierownictwie Apple, czy w polityce firmy, są szeroko komentowane nie tylko w samej branży, ale i przez użytkowników. Apple zmieniło się, zaczęło angażować się w działania społeczne, w dobroczynność. Zaczęło też ograniczać negatywny wpływ na środowisko, zarówno swój, jak i swoich dostawców. Dalej jednak produkuje rozpoznawalne i świetne produkty.

W często burzliwej dyskusji o tym, czy Tim Cook sprawdza się na pozycji dyrektora generalnego Apple, warto zachować rozsądek i chłodny umysł oraz wyjść poza bardzo subiektywne spojrzenie fana marki. Książka Leandera Kahneya jest takim właśnie chłodnym głosem rozsądku.

Kahney śledzi karierę Tima Cooka od szkoły średniej w małym miasteczku w Alabamie, przez Uniwersytet Auburn, pracę w IBM, Intelligent Electronics, Compaq, aż po Apple. Przedstawia wydarzenia, które wywarły na niego silny wpływ (jak choćby postawiona przez lekarzy błędna diagnoza, że ma stwardnienie rozsiane), które kształtowały w nim nie tylko zdolności organizacyjne i przywódcze, ale także człowieka jako takiego. Autor opiera się na własnych rozmowach ze znajomymi, współpracownikami czy zwierzchnikami Cooka, którzy poznali go lepiej lub gorzej na różnych etapach jego życia. Niemniej ważne są wystąpienia i wywiady, podczas których Tim Cook sam opowiadał o swoich decyzjach. Autorowi udało się też trochę poznać dość skąpe życie prywatne obecnego dyrektora generalnego Apple. Od zawsze był on żyjącym samotnie tytanem pracy o nielicznym gronie bliższych znajomych. Ci, do których dotarł Kahney, wspominają, że prywatnie Cook lubi żartować i śmiać się z samego siebie.

Książka ta to nie tylko udana próba bliższego przedstawienia Tima Cooka, ale także najnowszej historii Apple – tej, której nie znajdziecie w żadnej z biografii Steve'a Jobsa. Przedstawia Cooka, jak wspominałem już

wcześniej, w dość chłodny sposób, bez wybielania czy oczerniania.

Kahney, bazując na wypowiedziach samego Tima Cooka, jego wywiadach, wypowiedziach byłych i obecnych pracowników Apple oraz materiałach prasowych, ze szczegółami pokazuje, jak on działał i działa, zarządzając Apple, i jak trudne dla niego były pierwsze lata na stanowisku dyrektora generalnego, w których zdarzyły mu się poważne błędy i

Kahney pokazuje jednak także czytelnikowi, jak wyglądają realia w tych zamkniętych miastach-fabrykach i dlaczego mrówcza praca armii złożonej z dziesiątków, a nawet setek tysięcy robotników, którzy ręcznie przy taśmach montażowych składają iPhone'y czy komputery Mac, sprawdza się znacznie lepiej od w pełni zautomatyzowanych fabryk Steve'a Jobsa

porażki, musiał też poskromić pewien chaos w szeregach wyższych kadr kierowniczych. Dymisja i odejście z firmy Scotta Forstalla, w którym wielu widziało potencjalnego następcę Jobsa, uznawana jest wręcz za swego rodzaju publiczną egzekucję, mającą udowodnić, że Cook potrafi twardą ręką kierować firmą, nie wahając się uderzać nawet w pretorian Jobsa.

Analizując działania Tima na stanowisku dyrektora generalnego Apple, Kahney rozprawia się zarówno z twierdzeniem, że pod rządami Cooka firma się kończy, jak i z przedstawianiem go w samych superlatywach. Nie waha się zwracać uwagę na to, że firma zaangażowana w działalność charytatywną wciąż produkuje swoje urządzenia w państwie totalitarnym, w którym ludzie traktowani są jak maszyny. I choć Apple pod rządami Cooka podjęło pewne działania, by to zmienić, to są one jednak wciąż niewystarczające.

To Cook odpowiada w dużym stopniu za outsourcing produkcji Apple, co poza samymi świetnymi produktami było fundamentem jej sukcesu. Kahney pokazuje jednak także czytelnikowi, jak wyglądają realia w tych zamkniętych miastach-fabrykach i dlaczego mrówcza praca armii złożonej z dziesiątków, a nawet setek tysięcy robotników, którzy ręcznie przy taśmach montażowych składają iPhone'y czy komputery Mac, sprawdza się znacznie lepiej od w pełni zautomatyzowanych fabryk Steve'a Jobsa. Niskopłatni robotnicy mogą być łatwo zatrudnieni i zwolnieni w ogromnej masie. Łatwo też przestawić ich na montowanie innego niż dotychczas elementu w zupełnie innym produkcie.

Mamy więc tutaj obraz potężnego człowieka o głębokim poczuciu wartości etycznych, wpojonych jeszcze podczas jego studiów na Duke University. Człowieka, który pod każdym względem chce, by jego działania i firma, w której pracuje, pozostawiły świat lepszym, niż go zastał. Nie zawsze się to jednak udaje, czego zapewne ma świadomość.

Książka ta to lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy interesują się nie tylko Apple, ale i współczesnym światem.

iPhone Pro?

Nie, dziękuję. Wolałbym iPhone'a Classic!

Marek Gawryłowicz



1 kwietnia 2017 roku na łamach serwisu MyApple pojawiła się informacja o planowanej reedycji pierwszego modelu iPhone'a. Wiadomość ta była oczywiście primaaprilisowym żartem, jednak dała ona początek kilku ciekawym dyskusjom dotyczącym tego, jak taki nowy-stary iPhone mógłby w rzeczywistości wyglądać. Na jakim systemie operacyjnym by działał? Ile by kosztował? Jakie miałby parametry? I najważniejsze: czy ktoś w ogóle chciałby kupić taki telefon?

Sama idea wydawała mi się irracjonalna, bo wszak Apple jest firmą starającą się iść ciągle do przodu...

Przyznam szczerze, że gdy wspomniany tekst ujrzał światło dzienne, nawet przez chwilę nie traktowałem poważnie pomysłu odświeżania pierwszego iPhone'a. Sama idea wydawała mi się irracjonalna, bo wszak Apple jest firmą starającą się iść ciągle do przodu (ślimaczym tempem, ale jednak), konsekwentnie i bez mrugnięcia okiem zastępując stare rozwiązania nowymi (czy nam się to podoba, czy nie, tak jak w przypadku złącza słuchawkowego, przycisku Home i Touch ID). Sentymentalne patrzenie w przeszłość i wskrzeszanie starych produktów po prostu nie pasuje do jej obecnego wizerunku i charakteru. Niemniej jednak od jakiegoś czasu coraz częściej myślę o tym, że gdyby Apple rzeczywiście zdecydowało się odświeżyć któryś ze swoich starszych modeli (niekoniecznie pierwszego iPhone'a, ale np. 3GS lub 4S), prawdopodobnie nabyłbym go zaraz po premierze. O dziwo myśl tę w mojej głowie zaszczerpiło... Nintendo.

Nawet jeśli ktoś nie śledzi rynku konsol do gier, zapewne obita mu się o uszy seria Nintendo Classic Mini, w której skład wchodzi dwie reedycje klasycznych konsol tej firmy z lat 80. i 90. ubiegłego wieku. Wypuszczone na rynek w 2016 i 2017 roku zrobiły wokół siebie ogromne zamieszanie, znikając z półek sklepowych w zawrotnym tempie. Firmie Nintendo udało się bowiem uchwycić odrobinę nostalgicznej magii konsol z tamtych lat i zamknąć ją w formie gadżetów przystosowanych do potrzeb współczesnych odbiorców. Każda z nich daje więc użytkownikowi tę najprzyjemniejszą część obcowania z konsolą retro (granie w klasyczne gry za pomocą sprzętu przypominającego oryginał z tamtych lat), jednocześnie eliminując wszelkie niedo-

godności, które wiązałyby się z korzystaniem z ich oryginalnych wersji (problemy z dostępnością samej konsoli, gier i akcesoriów, problemy z podłączeniem do współczesnych telewizorów, brak opcji zapisania gry w każdym momencie etc.). Niedługo po tym, jak pierwszy raz zobaczyłem miniaturkę NES-a, przypomniał mi się primaaprilisowy żart dotyczący reedycji pierwszego iPhone'a. Tym razem jednak pomysł ten nie wydawał mi się już taki głupi.



Wpis o powrocie na rynek pierwszego iPhone'a sprawdził się tak dobrze jako żart prima-aprilisowy, gdyż większość osób, czytając go, od razu wyobrażała sobie te stada „owiec”, „hipsterów” i „cebulaków”, które od razu pobiegłyby kupić przestarzały telefon tylko dlatego, że to iPhone. Łatwo przez to kompletnie przeoczyć fakt, że gdyby Apple zrobiło z pierwszym iPhone'em to, co Nintendo ze swoimi klasycznymi konsolami, taki model mógłby się okazać idealną propozycją dla wielu osób. Wbrew powszechnie panującej opinii nie wszyscy klienci Apple bezmyślnie rzucają się na każdy nowy produkt, który wypuści ta firma. Przeciwnie - wielu z nich zdecydowało się nie kupować nowszych modeli iPhone'ów, gdyż nie podoba im się kierunek, w którym się one rozwijają.

...wyprodukowanie takiego modelu wymagałoby ogromnych dodatkowych nakładów pracy i pieniędzy, większość klientów oczekiwałaby, że będzie on tańszy...

Sam zaliczam się do grona osób, które preferują starsze iPhone'y nie ze względu na nostalgię czy sentyment, lecz po prostu dlatego, że w obecnej ofercie Apple nie mogę znaleźć modelu, który by mi się podobał. Nie lubię dużych smartfonów, Face ID do mnie nie przemawia i chociaż w pełni rozumiem, dlaczego Apple zrezygnowało ze złącza słuchawkowego, to jednak mimo wszystko wolałbym je mieć w swoim telefonie. Największy problem stanowi jednak dla mnie to, że choć każda kolejna wersja iPhone'a może pochwa-

lić się lepszymi parametrami od swojej poprzedniczki - wydajniejszym procesorem, lepszym aparatem itd. itp. - moje potrzeby nie ewoluują wraz z nimi. Jeśli chodzi o smartfony, nie jestem „power userem”. Używam ich niemal wyłącznie do dzwonienia, odbierania i wysyłania wiadomości, słuchania muzyki i audiobooków oraz przeglądania newsów za pomocą czytnika RSS. Żadna z tych czynności nie potrzebuje najnowszego super wydajnego procesora, które Apple tak zachwala podczas prezentacji każdego kolejnego modelu. Czułbym się więc po prostu głupio, kupując smartfon, którego jedyną zaletą (przynajmniej z mojego punktu widzenia) są mocniejsze parametry, a następnie wykorzystując go do zadań, z którymi poradziłby sobie starszy 4S. Ktoś powie „Jak nie pasują Ci nowe iPhone'y, kup smartfon z Androidem”. Dziękuję, nie skorzystam. Lubię iOS i to, jak smartfony z tym systemem integrują się z innymi urządzeniami i oprogramowaniem, z którego korzystam. Póki mam możliwość, nie zamierzam z tego rezygnować.

Na chwilę obecną jedynym wciąż powszechnie dostępnym na rynku modelem pasującym do moich wymagań jest więc iPhone SE. Wprawdzie od dawna nie da się go już kupić bezpośrednio od Apple, jednak nadal można go bez większego problemu dostać w sklepach. Niestety, taki stan rzeczy nie będzie trwał wiecznie, a jak na razie nic nie wskazuje na to, by Apple miało w planach kolejną wersję tego modelu. Wprawdzie plotki na jej temat krążą po sieci już od przynajmniej dwóch lat, dotąd nie znalazły żadnego potwierdzenia w rzeczywistości. Projekt iPhone'a SE 2 jest bowiem sprawą bardzo problematyczną. Apple nie może pozwolić sobie, by smartfon ten zbyt mocno odstawał od pozostałych nowych modeli, bo wyglądałoby to jak przyznanie się do tego, że niektóre z wprowadzonych w nich zmian nie były dobrym pomysłem. Oznacza to, że Apple musiałoby m.in. wyprodukować mniejszy ekran bezramkowy z zaokrąglonymi brzegami, wymyślić sposób na zmniejszenie

„notcha” (bo wcięcie takich samych rozmiarów na znacznie mniejszym ekranie wyglądałoby tragicznie) i upchnąć z tyłu wystający podwójny aparat. Jednocześnie mimo iż zaprojektowanie i wyprodukowanie takiego modelu wymagałoby ogromnych dodatkowych nakładów pracy i pieniędzy, większość klientów oczekiwałaby, że będzie on tańszy od pozostałych wariantów... bo przecież jest mniejszy. Jakby tego było mało, nawet jeśli Apple zrobiłoby to wszystko, sporo spośród osób czekających na nowego SE (w tym piszący te słowa, bo jako klient wierny firmie od lat czuję, że mam prawo wybrzydzać) i tak narzekałoby na zmiany w stosunku do poprzedniego modelu - brak złącza słuchawkowego, Touch ID itd. itp.

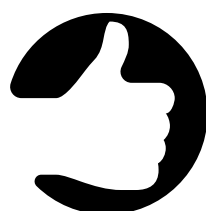
Nawet jeśli nie będzie to oficjalna reedycja pierwszego iPhone'a, to przynajmniej będzie to jego pierwszy od wielu lat prawdziwy duchowy spadkobierca

iPhone Classic, bo taką mało kreatywną nazwę nadałem swojej wymyślonej reedycji pierwszego iPhone'a (choć równie dobrze mogłaby to być reedycja 3GS, 4 lub mieszanka łącząca cechy wszystkich modeli z „epoki Jobsa”), nie stwarzałaby jednak tych samych problemów. Apple mogłoby sobie pozwolić, by odstawał od reszty parametrami i wykorzystywał porzucone rozwiązania, bo w końcu nie wynikałoby to z ograniczeń, lecz z potrzeby zachowania klasycznego stylu. Byłby to więc elegancki sposób na zapewnienie fanom starszych modeli (i osobom z mniejszymi wymaganiami) tego, czego chcą, przy jednoczesnym zminimalizowaniu ryzyka, że taki smartfon

„skanibalizuje” sprzedaż flagowych modeli. Jeśli Apple rzeczywiście udałoby się zawrzeć w takim urządzeniu wszystkie cechy, dzięki którym stare iPhone'y są nadal wspominane przez fanów ze sporym sentymentem (prosta obsługa, intuicyjność, płynność działania, wygląd i wymiary), i wprowadzić niewielkie poprawki dostosowujące go do współczesnych standardów (obsługa LTE, dodatkowe zabezpieczenia, lepszy ekran, złącze lightning zamiast 30-pin), mogłoby się nawet okazać, że taki model byłby w stanie osiągnąć to, czego nie udało się iPhone'om 5C i XR - stać się przystępnym punktem wejścia w „ekosystem” Apple. Biorąc pod uwagę, że firma ta coraz mocniej skupia się na usługach sprzedawanych użytkownikom jej smartfonów, taki ruch byłby jej jak najbardziej na rękę.

Oczywiście mam świadomość tego, jak nikłe są szanse na to, że kiedyś rzeczywiście dołączymy się prawdziwej reedycji któregoś ze starszych modeli iPhone'a. Wiem dobrze, że Apple to nie Nintendo, iPhone'y to nie konsole, a grupa malkontentów jęczących, że „kiedyś było lepiej”, to nie wystarczający powód do wprowadzania na rynek takiego produktu. Niemniej jednak gdzieś tam we mnie tli się isierka nadziei, że kiedyś jeszcze przyjdzie mi kupić od Apple niewielki, prosty telefon, który zachwyci mnie komfortem użytkowania, a nie cyferkami w specyfikacji technicznej. Nawet jeśli nie będzie to oficjalna reedycja pierwszego iPhone'a, to przynajmniej będzie to jego pierwszy od wielu lat prawdziwy duchowy spadkobierca.





**MyApple
Poleca**

SPRAWDŹ W NASZYM SKLEPIE

Czy potrzebujemy nowego MacBooka Pro?



Bartłomiej Mazurek



Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że już niebawem zadebiutuje nowy, znacznie lepszy MacBook Pro. Wygląda na to, że najpopularniejszą serię laptopów od Apple czeka metamorfoza. W związku z tym nasuwa mi się pytanie - czy rzeczywiście potrzebujemy nowego MacBooka Pro?

Każdy z laptopów oferuje dotykowy pasek Touch Bar i niezłe podzespoły.

MacBooki Pro bez wątpienia są w dalszym ciągu jednymi z najpopularniejszych urządzeń, jakie Apple ma w swojej ofercie. Mimo że rok temu przesiadłem się na iMaca 5K, to wciąż mam swojego dość mocno wystuzonego, 13-calowego MacBooka Pro z 2014 roku. Mój laptop we wrześniu skończy pięć lat, a ja muszę przyznać, że w tym czasie wiernie towarzyszył mi i był pomocny w wielu sytuacjach. Niestety z czasem ten model stał się dla mnie niewystarczający, dlatego byłem zmuszony do zmiany. Więcej na temat powodów, z jakich przesiadłem się na iMaca, możecie przeczytać w poprzednim numerze Magazynu MyApple.

Kolejne raporty mówią o zastosowaniu procesorów Intelu dziewiątej generacji. W końcu ma pojawić się klawiatura z prawdziwego zdarzenia. Mówi się, że mechanizm nożycowy powróci i to on ma na dobre rozwiązać problem...

Lubię te komputery i niewykluczone, że kiedyś ponownie zdecyduję się na zakup MacBooka Pro. Na bieżąco śledzę plotki, które jasno wskazują, że już niebawem zobaczymy nowe komputery.

Można by zastanawiać się, po co czekać na nowe modele, skoro MacBooki Pro całkiem niedawno doczekały się odświeżenia. Każdy z laptopów oferuje dotykowy pasek Touch Bar i niezłe podzespoły. Nawet podstawowa wersja wydaje się być sensownym wyborem, choć pojemność dysku i ilość pamięci RAM szybko mogą okazać się niewystarczające. MacBook Pro sprawia wrażenie komputera idealnego. Mamy doskonały ekran, niezwykle cienką obudowę, solidne podzespoły i baterię pozwalającą na kilka godzin intensywnej pracy. Można by zadać pytanie - co nowego może jeszcze Apple zrobić ze swoimi komputerami?

Jeśli wierzyć najnowszym doniesieniom, to w planach Apple jest zaprezentowanie 16-calowego MacBooka Pro, który miałby na dobre zastąpić 15-calową wersję. Serwis Digitimes twierdzi, że laptop będzie wyposażony w ekran (niemal) całkowicie pozbawiony ramek. Kolejne raporty mówią o zastosowaniu procesorów Intelu dziewiątej generacji. W końcu ma pojawić się klawiatura z prawdziwego zdarzenia. Mówi się, że mechanizm nożycowy powróci i to on ma na dobre rozwiązać problem, który wciąż dotyka sporą ilość komputerów. Przyznam, że ta wada najbardziej zniechęciła mnie do zakupu nowego laptopa.

Jeśli wierzyć tym plotkom, to w końcu dostaniemy MacBooka Pro z prawdziwego zdarzenia. Komputer ładny, mocny, ale przede wszystkim funkcjonalny. Taki ruch ma chociaż trochę odbudować wiarę w firmę z Cupertino. Mimo że zapowiedzi nowego MacBooka Pro napawają optymizmem, sam jestem pełen obaw związanych z tym modelem.

Apple raczej nie pokusi się o pokazanie mniejszej, 13-calowej wersji, która przynajmniej dla mnie jest jedną z bardziej uniwersalnych. Kompaktowe rozmiary mają kluczowe znaczenie dla osób pracujących „w terenie”. Druga sprawa to cena. Cupertino z Timem Cookiem na czele od lat raczy

nas podwyżkami cen. Rozumiem, że MacBook Pro w nowym rozmiarze, podobnie jak Mac Pro, nie będzie sprzętem dla każdego. Jednak w tym miejscu Apple powinno pokazać równoległy model, który zadowoli mniej wymagających użytkowników. Nie każdy potrzebuje gigantycznej mocy obliczeniowej. Gdyby dotychczasowe wersje 13-calowych MacBooków miały bezawaryjną klawiaturę, to rzeczywiście taka zmiana nie byłaby tak pożądana. Jestem pewien, że zamiast paska Touch Bar wielu z nas wolałoby otrzymać po prostu solidny komputer.

Osoby chcące pozostać w środowisku macOS będą musiały zdecydować się na starszą wersję MacBooka Pro. A to w dalszym ciągu niesie za sobą obawy i spore ryzyko, że klawiatura ulegnie uszkodzeniu.

Tak więc wszystko wskazuje na to, że 16-calowy MacBook będzie pozornie idealnym sprzętem. Ze względu na podwyżkę ceny, ponownie stanie się urządzeniem dla wybranych. Osoby chcące pozostać w środowisku macOS będą musiały zdecydować się na starszą wersję MacBooka Pro. A to w dalszym ciągu niesie za sobą obawy i spore ryzyko, że klawiatura ulegnie uszkodzeniu.

Jednak spróbuję odpowiedzieć na zadane w tytule tekstu pytanie. Czy rzeczywiście potrzebujemy nowego MacBooka Pro? Jak najbardziej tak. Przede wszystkim Apple powinno postawić na niezawodność i w pierwszej kolejności wyeliminować problemy z klawiatu-

rami. Oczywiście większa przestrzeń robocza i jeszcze większa moc obliczeniowa to bardzo ważne i potrzebne zmiany. Mam jednak ciłą nadzieję, że ceny nie zostaną podniesione drastycznie.

Chciałbym, aby MacBooki zostały odświeżone, poczynając od najtańszych, a kończąc na najdroższych modelach. Doniesienia o 16-calowym modelu to także małe światełko w tunelu, które podpowiada, że Apple prędzej czy później również zastąpi 13-calową wersję. Być może w tej samej obudowie dostaniemy 14-calowy ekran z ulepszoną klawiaturą i nowymi procesorami. MacBooka Pro w takiej formie kupiłbym bez większego zastanowienia.

Spoglądając na opinie kolegów z redakcji MyApple, spostrzeżenia znajomych, a także wiele komentarzy pod tekstami, dochodzę do wniosku, że potrzebujemy nowych komputerów bardziej niż kiedykolwiek. Apple jednak powinno pójść drogą ku niezawodności i funkcjonalności. Chciałbym zobaczyć drugą generację paska Touch Bar, bo na jego zniknięcie raczej nie mamy co liczyć.

Mam nadzieję, że Tim Cook tym razem pozytywnie mnie zaskoczy i MacBook Pro będzie kompletnym komputerem.

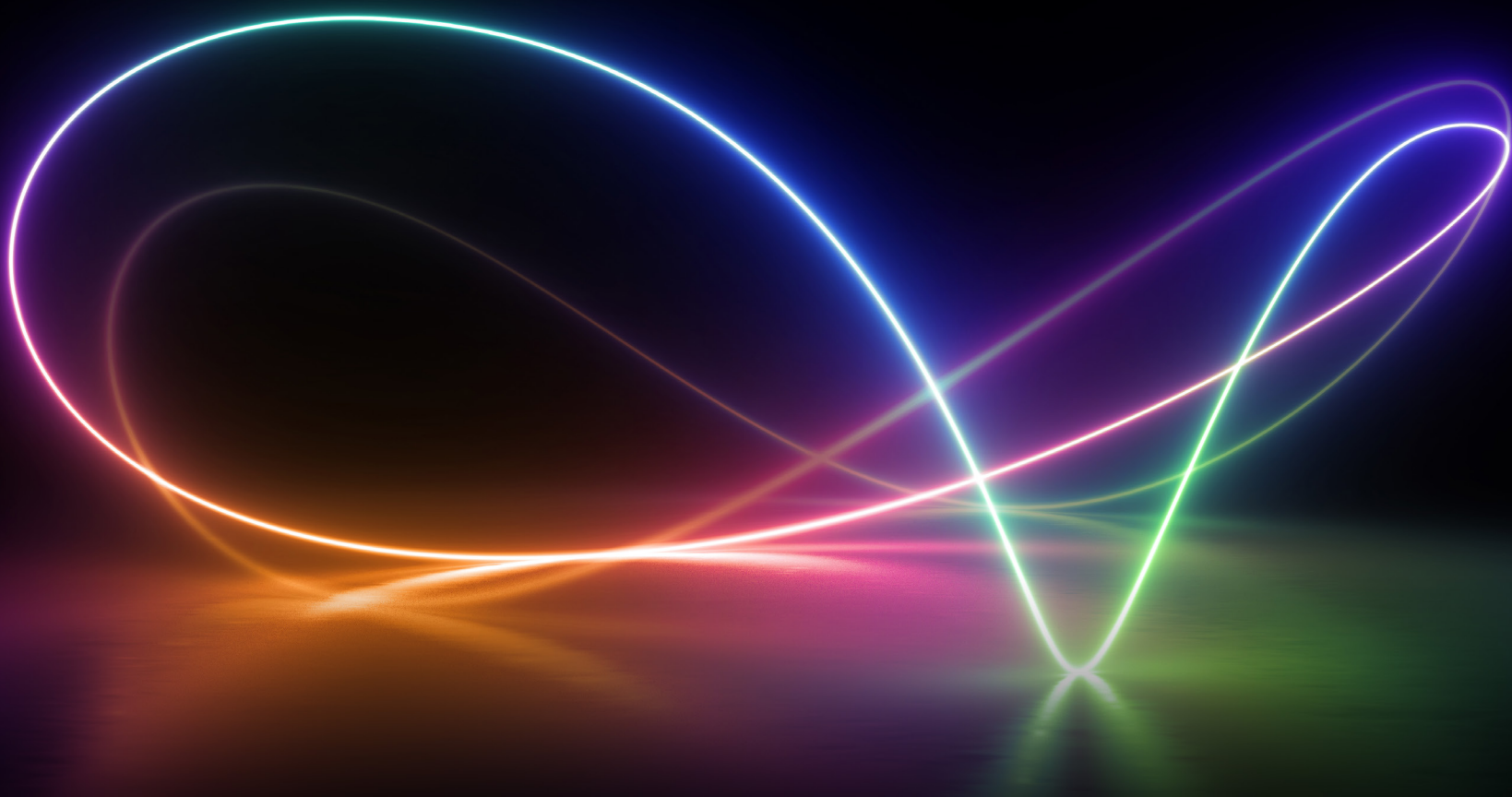


Historia zatoczyła koło

iPhone odpowiada za mniej niż 50% przychodów Apple



Michał Maślowski



Pod koniec lipca Apple ogłosiło wyniki za III kwartał roku obrotowego 2019 (drugi kwartał roku kalendarzowego). Przynajmniej dwa ważne fakty powinniśmy odnotować i zapamiętać:

- 1.** Apple zatrzymało negatywną tendencję spadku przychodów. Po dwóch kwartałach spadku przychodów odnotowano skromny, bo zaledwie 1-procentowy, ale jednak wzrost przychodów. Za ten wzrost Apple zapłaciło jednak spadkiem marż. Nie udało się zatrzymać negatywnej tendencji na poziomie zysku netto, który spadł i to znacznie.
- 2.** Przychody ze sprzedaży iPhone'a po raz pierwszy od 2012 roku stanowią mniej niż 50% ogólnych przychodów Apple.

Przychody Apple w ostatnim kwartale, w podziale na główne segmenty, były następujące:

- **iPhone** 25,986 mld USD (rok temu 29,470 mld USD, **-11,8%**)
- **iPad** 5,023 mld USD (rok temu 4,634 mld USD, **+8,4%**)
- **Mac** 5,82 mld USD (rok temu 5,258 mld USD, **+10,6%**)
- **Akcesoria** 5,52 mld USD (rok temu 3,733 mld USD, **+47,8%**)
- **Usługi** 11,455 mld USD (rok temu 10,17 mld USD, **+12,6%**)

Łączne przychody Apple wyniosły 53,8 mld USD, wobec 53,265 mld USD rok temu, co oznacza wzrost przychodów o 1%. Zysk netto z kolei wyniósł 10,044 mld USD, wobec 11,519 mld USD, co oznacza spadek o 13%.

Głównym „winowajcą” niższych przychodów była sprzedaż iPhone’a, flagowego produktu Apple...

Sprzedaż iPhone’a słabnie trzeci kwartał z rzędu, rosną Usługi i Akcesoria

Problemy Apple z utrzymaniem poziomu przychodów nie są tajemnicą. Wszyscy pamiętamy list Tima Cooka do inwestorów z początku 2019 roku, w którym to szef Apple oficjalnie obniżył prognozę i przygotował inwestorów na słabsze wyniki finansowe za właśnie mijający kwartał. Apple po raz pierwszy odnotowało spadek sprzedaży rok do roku w I kwartale roku obrotowego 2019 (IV kwartał roku kalendarzowego 2018). Dziwnym trafem, zbiegło się to z momentem, kiedy to spółka przestała podawać do publicznej wiadomości

liczby sprzedanych poszczególnych produktów. Kolejny kwartał to również spadek łącznych przychodów Apple.

Głównym „winowajcą” niższych przychodów była sprzedaż iPhone’a, flagowego produktu Apple, który przez wiele lat był (i wciąż jest) koniem pociągowym całej firmy. Wzrosty w pozostałych nogach przychodowych nie były w stanie zrównoważyć nawet kilkuprocentowych spadków sprzedaży iPhone’a. Odwróciła się sytuacja, z którą mieliśmy do czynienia przez długie lata i do której byliśmy już przyzwyczajeni, tj. zawsze było tak, że ewentualne spadki sprzedaży np. iPada czy też Maca były „przykrywane” przez każdorazową gigantyczną sprzedaż iPhone’a. Z kolei tym razem, w I półroczu 2019 roku, kilkuprocentowe spadki w przychodach iPhone’a „przykrywały” z górką wzrosty w pozostałych głównych liniach produktowych.

Ten efekt słabszej sprzedaży iPhone’a udało się w ostatnim kwartale, po raz pierwszy, zastopować. Ogromne wzrosty sprzedaży w zasadzie we wszystkich pozostałych kategoriach produktowych spowodowały, że łączne przychody Apple minimalnie, ale jednak wzrosły. Najbardziej zwraca uwagę oczywiście wzrost, +47% r/r, w kategorii Akcesoria. Linia ta jest oryginalnie, według Apple nazwana „Wearables, Home and Accessories”, a głównymi dwiema gwiazdami mającymi coraz większy wpływ na ogólną wielkość sprzedaży są oczywiście Apple Watch i AirPods.

Wyniki Apple są „ciągnięte” jeszcze bardziej przez kategorię Usługi. Przychody z Usług są większe niż przychody ze sprzedaży Maców i iPadów razem wzięte, a przecież należy sobie zdawać sprawę, że tak naprawdę to dopiero początek. Jesteśmy przecież w przeddzień uruchomienia kolejnych dużych, zapowiedzianych wiosną, usług Apple, czyli Apple TV+ i Apple Arcade. Na rynku, na razie tylko w USA, od kilku tygodni jest obecna usługa Apple Card, jeszcze niewidoczna w przycho-

dach Apple, i usługa Apple News+, z której przychody także nie są jeszcze ujmowane w przychodach w kategorii Usługi. To stanie się dopiero widoczne w wynikach kolejnego kwartału, choć należy się spodziewać, że jak większość usług również te będą „rozpędzać się” powoli.

Nie jest łatwo zastąpić spadającą sprzedaż

Ogromne wzrosty sprzedaży w zasadzie we wszystkich pozostałych kategoriach produktowych spowodowały, że łączne przychody Apple minimalnie, ale jednak wzrosły.

iPhone’a, lecz jak widać, Apple przynajmniej w tym ostatnim kwartale udało się to zrobić. Zresztą warto przypomnieć słowa Tima Cooka ze wspomnianego listu do akcjonariuszy z początku roku. Dla Apple coraz mniejsze znaczenie ma to, ile dokładnie iPhone’ów, iPadów czy też Maców sprzedano w danym kwartale. O wiele większe znaczenie ma to, czy rośnie, a jeżeli tak, to w jakim tempie, liczba użytkowników ich ekosystemu. Czy użytkownicy są aktywni i czy wykorzystują swoje urządzenia do zakupu kolejnych usług od Apple. Dla Apple iPhone, z biznesowego punktu widzenia, coraz mniej jest źródłem przychodów, a coraz bardziej jest bramą do wielu usług, które spółka oferuje.

Aktualnie liczba aktywnych subskrybentów usług Apple wynosi 420 milionów. Spółka już zapowiedziała, że w 2020 roku chce ich mieć ponad pół miliarda. W obliczu premiery nowych usług liczba ta nie wydaje się zbyt ambitnie postawionym i jakimś nierealistycznym celem.

Sprzedaż iPhone’a poniżej 50% przychodów Apple

Analizując wyniki Apple przez ostatnich kilka lat, warto także zwrócić uwagę na to, że firma ta coraz mniej „stoi” na przychodach ze sprzedaży iPhone’a. Aktualnie sprzedaż iPhone’a stanowi 48% ogólnych przychodów spółki. Jest to pierwsza taka sytuacja od 2012 roku, kiedy to na rynku królował iPhone 4S. Wówczas to nastąpiła prawdziwa eksplozja sprzedaży tego telefonu. W historii firmy były kwartały, że sprzedaż iPhone’a odpowiadała za blisko 70% ogólnej sprzedaży firmy. Teraz ta sytuacja, w zasadzie w mniej niż 1 rok, całkowicie się zmieniła. Sprzedaż iPhone’a spada i nic nie zapowiada, aby ta tendencja, przynajmniej w krótkim horyzoncie czasowym, miała się zmienić.

Wydaje się, że kierunek jest jeden. Tak jak przez ostatnich kilka lat analitycy, inwestorzy giełdowi patrzyli w zasadzie tylko na sprzedaż iPhone’a, jako papierek lakmusowy kondycji finansowej Apple, tak za chwilę będą patrzyli głównie na Usługi, na liczbę aktywnych subskrybentów, czy też na liczbę wszystkich użytkowników urządzeń Apple.

Mało tego, postawię jeszcze śmielszą tezę. Być może teraz w 2019 roku, gdy Apple sprzedaje kwartalnie iPhone’ów za 25 miliardów dolarów, to zabrzmiałoby niewiarygodnie, ale tak jak przez ostatnie lata nikt już specjalnie nie przejmował się spadającą liczbą sprzedanych iPodów, aż te kompletnie zniknęły z oferty Apple, tak być może już za chwilę będziemy podobnie patrzeć na liczbę sprzedanych iPhone’ów. Za to wszyscy analitycy będą wstrzymywać oddech, gdy nastąpi jakiegokolwiek wahanie w przychodach Apple w kategorii Usługi. Moim zdaniem jest to całkiem realna wizja.



Green Cell Power Source



Krystian Kozarewski



Niezależnie od tego, jak bardzo pojemne będą baterie w naszych smartfonach i laptopach, wciąż trzeba będzie je ładować – i robić to bezpiecznie i szybko. Do niedawna temat ten spędzał sen z powiek niejednemu użytkownikowi, którego biurko ginęło w stosie kabelków i ładowarek, od tych mniejszych do smartfonów po te duże, do MacBooka Pro na przykład. Przyznam, że kilka lat czekałem na to, aż problem ten zostanie rozwiązany.

Stało się to dopiero niedawno wraz z pojawieniem się technologii Power Delivery. Jedna ładowarka do wszystkiego: smartfona, iPada, MacBooka Pro i ładowania power banków. To w końcu jest możliwe. Co więcej, taki wydawać by się mogło kombajn wcale nie musi być duży i do tego może bardzo dobrze wyglądać. Udowadnia to kolejny raz nasz rodzimy producent urządzeń dostarczających i magazynujących energię - Green Cell. Na rynek trafiła właśnie jego [ładowarka Power Source](#).

Urządzenia marki Green Cell można właściwie rozpoznać na odległość. Charakteryzuje je bardzo stylowy design utrzymany w czarnym kolorze z zielonymi akcentami, czy to w postaci diody led sygnalizującej pracę urządzenia, czy gniazda szybkiego ładowania USB-A. Nie inaczej jest w przypadku ładowarki Power Source. Opisywane urządzenie to wykonana z twardego, czarnego plastiku kostka o stosunkowo niewielkich rozmiarach i wadze, wynoszących odpowiednio 103 x 72 x 28 mm i 219 g. Bez problemu zmieści się na każdym biurku, z powodzeniem można ją też zabrać ze sobą w podróż zamiast kilku innych ładowarek, w tym tej do laptopa (jeśli tylko można go ładować przez gniazdo USB-C Power Delivery). Co ważne, tworzywo, z którego wykonana jest obudowa, odporne jest na zarysowania, a cała ładowarka – na wstrząsy i upadki. Można więc śmiało zabrać ją choćby w najdalszą podróż.

Warto pamiętać o tym, że nie jest to jakiś chiński OEM, który następnie sprzedaje się pod własną marką (jak robią to niektóre firmy). Ładowarka Power Source została w całości zaprojektowana w krakowskim zespole badawczo-rozwojowym Green Cell. Dbłość o szczegóły przejawia się nie tylko w wyglądzie, ale i w niezawodności działania zarówno tego, jak i pozostałych produktów tej marki.

O dbałości o szczegóły świadczyć może choćby umieszczony na frontowej ścianie urzą-

dzenia, tuż obok gniazd i diody LED, czujnik światła, który odpowiada za rozjaśnianie bądź ściemnianie tej ostatniej. Dzięki temu wspomniana dioda nie będzie irytować nas ostrym światłem podczas pracy w ciemnym pomieszczeniu czy po zmroku.

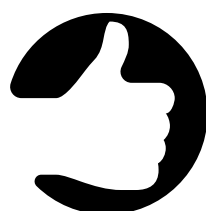
Ładowarka Power Source wyposażona jest w jedno gniazdo USB-C Power Delivery, za pomocą którego ładuję mojego MacBooka Pro, jedno gniazdo USB typu A z funkcją szybkiego ładowania Ultra Charge, kompatybilną m.in. z Quick Charge, Samsung AFP i Pump Express, oraz dwa inteligentne gniazda USB typu A, dopasowujące parametry ładowania do potrzeb urządzeń, które ładowane są przez tradycyjny port tego typu.

Port USB-C Power Delivery ładuje urządzenia z mocą 60 W, a więc naładuje bez problemu MacBooka Pro 13", ale można za jego pośrednictwem ładować także MacBooka Pro 15" (niniejszy tekst przygotowany jest na takim właśnie komputerze ładowanym przez opisywaną właśnie ładowarkę Power Source), jak również iPhone'a, iPada, konsolę Nintendo Switch i wiele innych urządzeń. Łączna moc ładowarki to 75 W.

Testuję ją od jakiegoś czasu, zabieram ją też ze sobą, kiedy wychodzę z domu czy biura. Niezależnie od tego, czy pracuję w domu, czy w kawiarni, hotelu, w pociągu czy autobusie, mam przy sobie jedno niezawodne źródło zasilania moich urządzeń.

[Ładowarka Green Cell Power Source dostępna jest w sklepie MyApple w cenie 269 zł](#)





**MyApple
Poleca**

SPRAWDŹ W NASZYM SKLEPIE

Hey Siri turn on TV

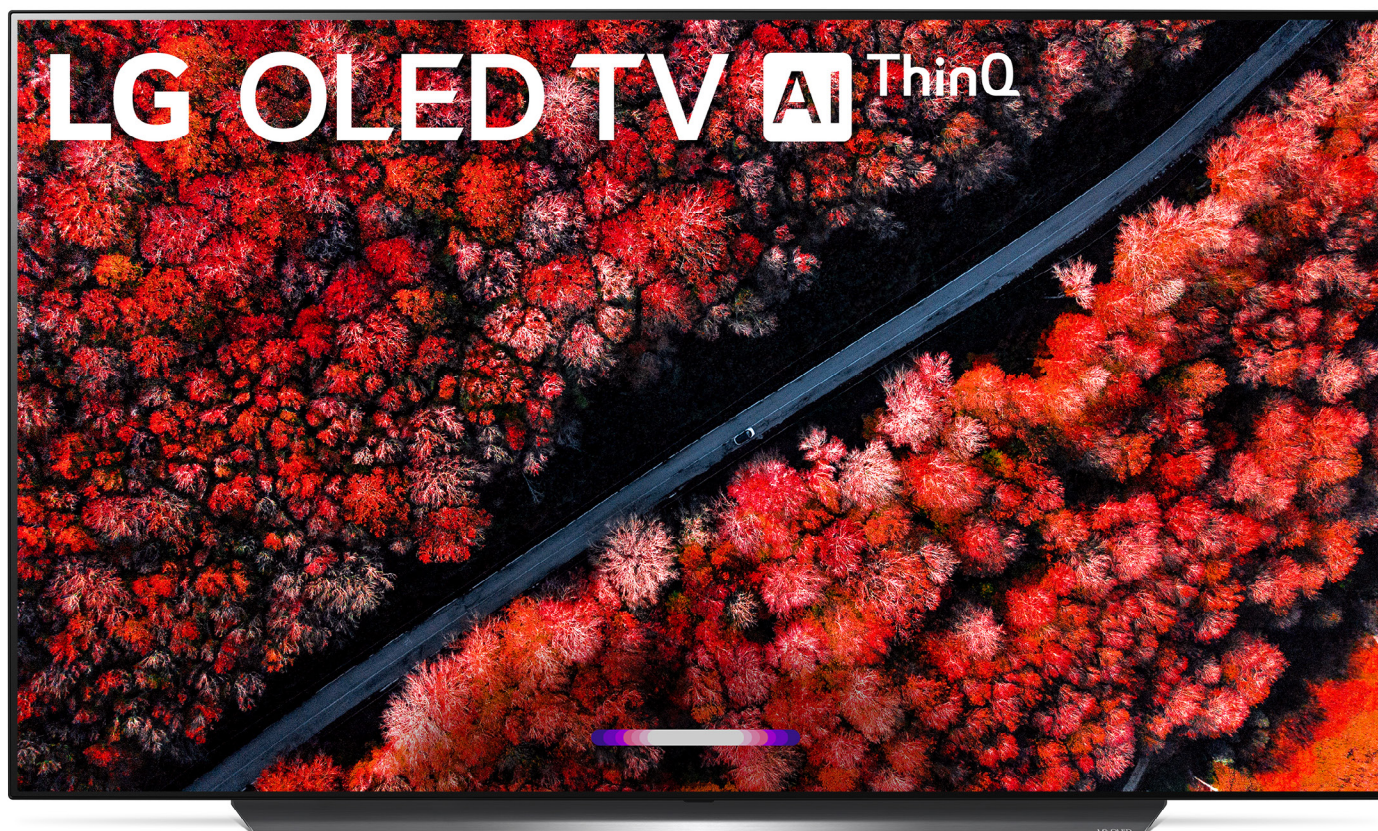
- test telewizora LG OLED TV 55C9PLA



Krystian Kozerański



Telewizor był jednym z marzeń Steve'a Jobsa, ostatecznie jednak Apple nigdy nie wprowadziło takiego produktu na rynek, ograniczając się do przystawki telewizyjnej i decydując się bardziej zawalczyć o klienta na rynku usług z własnym serwisem VOD. To dobrze, gdyż na rynku mamy przynajmniej kilka firm, które akurat na produkcji telewizorów znają się jak mało kto. Apple ostatecznie otworzyło się na współpracę z nimi, czego efektem jest pojawienie się w ich telewizorach wsparcia dla AirPlay i HomeKit. Jednym z tych producentów, którzy na RTV i AGD znają się najlepiej, jest południowokoreański koncern LG, a efektem kooperacji z Apple jest m.in. najnowsza seria smart telewizorów OLED z systemem webOS i wsparciem dla AirPlay i HomeKit właśnie. Model z 55-calowym ekranem miałem okazję ostatnio



Jedynym dodatkiem jest stylowa aluminiowa listwa ukrywająca przestrzeń pod telewizorem, w tym szeroką stopkę

Wygląd

Czasy, w których telewizory same w sobie były meblami, odeszły już do przeszłości. Obecnie urządzenia te muszą być jak najbardziej transparentne, nie rzucając się w oczy. Nic zatem dziwnego, że ich front zajmuje niemal wyłącznie ekran z bardzo cienkimi ramkami. Tak jest w przypadku omawianego telewizora C9PLA. Jedynym dodatkiem jest stylowa aluminiowa listwa ukrywająca przestrzeń pod telewizorem, w tym szeroką stopkę wykonaną z mocnego i twardego tworzywa. Co ciekawe, stanowi jej integralną część, bez niej telewizora nie da się ustawić. Cała elektronika te-

lewizora wraz z portami umieszczona została z tyłu, w dolnej, wyraźnie grubszej części. Wspomniana stopka posiada także specjalny schowek na kable, dzięki czemu nawet przestrzeń za telewizorem będzie schludna.

Coś dla oka i ucha, czyli ekran i dźwięk

Ekrany OLED mają swoich fanów i przeciwników. Bez dwóch zdań, LG jest producentem jednych z najlepszych ekranów tego typu. W ekranach OLED każdy subpiksel jest niezależną diodą. Jeśli więc w danym miejscu obraz ma być czarny, tworzące dany punkt subpiksele w ogóle nie są uruchamiane. Dzięki temu czerń jest faktycznie czarna, a kontrast wysoki. Ekrany OLED charakteryzują się także bardzo szerokim kątem, pod którym wyświetlany obraz wciąż zachowuje swoje naturalne kolory. Dokładnie wszystkie te cechy ma 55-calowy ekran testowanego przeze mnie telewizora. Wspomnę jeszcze, że jego powierzchnia tylko w niewielkim stopniu odbija

otoczenie. Nie ma więc efektu lustra. Bez problemu filmy można oglądać zarówno w dzień, jak i wieczorem.

Telewizor może wyświetlać obraz w jednym z kilku dostępnych trybów, są to: tryb żywy, standardowy, eco, kino, sport, gra, efekt HDR, technikolor. Są też tryby eksperckie do kalibracji telewizora, z nich jednak nie korzystałem. Telewizor sam rozpoznaje, jakiego typu obraz wysyłany jest przez źródło i przełącza się automatycznie w odpowiedni tryb. Bardzo podoba mi się działanie funkcji HDR10 Pro, wzmacniającej efekt HDR w przypadku filmów wyświetlanych po prostu w standardzie HDR. Telewizor oczywiście wspiera DolbyVision.

Obraz odświeżany jest z częstotliwością 120 Hz. Ekran zachowuje się też bardzo dobrze, jeśli chodzi o podświetlenie...

Przyznam, że 55 cali to w przypadku wielkości mojego salonu rozmiar optymalny, a i obraz 4K (ekran ma rozdzielczość 3840 x 2160 pikseli) na tej wielkości ekranie wygląda po prostu niesamowicie. Obraz odświeżany jest z częstotliwością 120 Hz. Ekran zachowuje się też bardzo dobrze, jeśli chodzi o podświetlenie, jak i utrzymanie jednolitych kolorów na całej swojej powierzchni.

Telewizor posiada głośniki o mocy 40 W w konfiguracji 2.2. To wystarcza do codziennego oglądania telewizji oraz filmów. Potrafi jednak komunikować się bezprzewodowo z kolumnami wspierającymi technologię WiSA. Telewizor wspiera też w pełni Dolby Atmos i DTS:X.

webOS i smart TV

Przyznam, że było to moje pierwsze spotkanie z webOS w telewizorze LG. Wcześniej, wiele lat temu, miałem okazję korzystać z tabletu HP TouchPad z tym systemem. Został on jednak już dawno mocno przebudowany i przystosowany do obsługi za pomocą pilota. Podstawowym elementem jego interfejsu jest dolny panel wyboru aplikacji, źródeł itp. Sam interfejs w webOS działa szybko, zarówno jeśli chodzi o przeskakiwanie pomiędzy poszczególnymi elementami menu, jak i otwieranie aplikacji. W telewizorze znajdziemy kilka fabrycznie zainstalowanych aplikacji popularnych serwisów, jak Netflix, Amazon Prime Video, pozostałe można pobrać ze sklepu. Aplikacje możemy dowolnie ustawiać na dolnym panelu. Można do niego dodać także np. wybrane kanały z serwisu YouTube.

Nowością w telewizorach LG z systemem webOS jest panel domowy, w którym znaleźć można wszystkie podłączone do telewizora urządzenia oraz te, które mogą się z nim komunikować w ramach sieci Internet of Things. Znajdziemy tam więc także głośniki sieciowe, np. z systemu multiroom, ale również inne urządzenia, zwłaszcza jeśli mamy te LG SmartThinQ. Można tam podejrzeć informacje z oczyszczacza powietrza, pralki czy lodówki.

Ostatnie tygodnie to także moje pierwsze spotkanie z pilotem LG do smart TV wyposażonym w akcelerometr. Przyznam, że sterowanie w ten sposób jest wygodne i szybkie. Bez przeskakiwania pomiędzy kolejnymi elementami mogę od razu wskazać element interfejsu, który chcę nacisnąć. Wciąż też mogę sterować i przeskakiwać pomiędzy elementami menu w sposób klasyczny, za pomocą klawiszy góra, dół, lewo i prawo. Za pomocą pilota dołączonego do telewizora można także sterować innymi urządzeniami, np. dekodern telewizji kablowej (do wyboru jest wielu dostawców w Polsce), Apple TV itp.

ThinkQ AI

Pilot wyposażony jest także w mikrofon służący do komunikacji głosowej z wbudowanym asystentem - sztuczną inteligencją ThinkQ AI. Można z nią rozmawiać po polsku, pytać o różne rzeczy, np. o pogodę w wybranym miejscu, reżysera czy obsadę danego filmu, wyszukiwać filmy i serie dostępne w usługach, których aplikacje zainstalowane są w systemie, a także wydawać polecenia, np. regulacji głośności, jasności, przełączania trybów obrazu, wyłączenia telewizora po zakończeniu odtwarzania jakiegoś filmu. Działa to całkiem nieźle, zwłaszcza gdy już wie się, o co można zapytać, jak zapytać czy jakie komendy wydać. Korzystając z ThinkQ AI w telewizorze LG, zdałem sobie sprawę, jak brakuje mi Siri mówiącej po polsku, zwłaszcza do dyktowania wiadomości iMessage poprzez CarPlay (kiedy prowadzę, wysyłam wiadomości po angielsku).

Filmy i muzykę możemy odtwarzać wprost z iPhone'a, iPada czy Maca. Dodatkowo na telewizor można wysłać ekran każdego z tych urządzeń

HomeKit i AirPlay 2

Z punktu widzenia użytkownika produktów Apple najważniejsze jest oczywiście wsparcie dla HomeKit i AirPlay 2. Dzięki temu telewizor można włączać właściwie z każdego miejsca na ziemi, jeśli tylko mamy przy sobie iPhone'a i dostęp do sieci. Co więcej, do włączenia czy

wyłączenia telewizora możemy użyć Siri, wołając np. „Hey Siri turn on TV”.

Z kolei wsparcie dla AirPlay 2 daje możliwość przesyłania zarówno wideo, jak i audio z różnych urządzeń Apple. Filmy i muzykę możemy odtwarzać wprost z iPhone'a, iPada czy Maca. Dodatkowo na telewizor można wysłać ekran każdego z tych urządzeń, bez potrzeby korzystania z przystawki Apple TV. Przyda się to nie tylko w grach, ale także np. do prezentacji. Pamiętać jednak trzeba, że obraz wyświetlany na ekranie telewizora będzie miał rozdzielczość jedynie Full HD.

Podsumowanie

Otwarcie Apple na współpracę z producentami telewizorów, którzy przecież są konkurencją na rynku smartfonów, to dobry krok, zwłaszcza dla nas - użytkowników. Bez wątplenia z punktu widzenia użytkownika produktów Apple wsparcie dla HomeKit i AirPlay 2 to ogromne atuty. Korzystanie z tego telewizora stawia w pewnym stopniu pod znakiem zapytania posiadanie przystawki Apple TV. Właściwie do pełnego szczęścia brakuje mi tutaj tylko aplikacji Apple TV, która da mi bezpośredni dostęp do filmów w 4K HDR znajdujących się w mojej kolekcji, ale bez problemu mogę wysyłać filmy z iPhone'a czy iPada. Bardzo jestem ciekaw, jak rozwinie się jeszcze współpraca pomiędzy LG i Apple.

Wsparcie AirPlay 2 i HomeKit to jednak nie są jedyne atuty tego telewizora, należy do nich przede wszystkim świetny ekran OLED i jakość wyświetlanego na nim obrazu. W połączeniu z intuicyjnym i szybkim systemem webOS tworzy to telewizor właściwie niemal idealny.





**MyApple
Poleca**

SPRAWDŹ W NASZYM SKLEPIE

Power Delivery

- energię podano do stołu



Krystian Kozarewski



Kiedy Apple wprowadzało w swoich 12-calowych MacBookach port USB-C, wydawać się mogło, że będzie to przekleństwo dla użytkowników ze względu na potrzebę stosowania przejściówek. Po kilku latach te wciąż są konieczne, na rynku jest jednak coraz więcej urządzeń – zasilaczy o takiej czy innej mocy, stacjonarnych hubów, oferujących dodatkowo zasilanie, a także przejściówek i kabli USB-C. Zmiana standardu nie przyniosła jedynie tego, że kabel lub akcesorium podłączymy już za pierwszym razem (wszak wtyczka jest symetryczna), ale coś bardziej istotnego – unifikację ładowarek, kabli itp.

Proces jest oczywiście błyskawiczny i odbywa się w ułamku sekundy po podłączeniu urządzenia do ładowarki

Zrozumiałem to dopiero podczas tegorocznego wyjazdu wakacyjnego, kiedy za pomocą różnych ładowarek mogłem ładować wszystkie moje urządzenia.

Standard Power Delivery wykorzystuje złącze USB-C do komunikowania się ładowarki z ładowanym urządzeniem, zanim jeszcze w ogóle rozpocznie się samo ładowanie. Ładowarka otrzymuje w ten sposób informację o tym, jaki prąd, z jakim napięciem i natężeniem, ma dostarczyć - stąd nazwa Power Delivery. Proces jest oczywiście błyskawiczny i odbywa się w ułamku sekundy po podłączeniu urządzenia do ładowarki czy generalnie źródła energii - może to być przecież monitor czy inne urządzenie działające w tym standardzie.

Oczywiście nie każda ładowarka oferuje takie napięcie, jakie np. potrzebuje mój MacBook Pro, ale zebrałem już sporo urządzeń, które radzą sobie z tym całkiem nieźle. Niektóre opisywałem już na łamach naszego magazynu. Wspomnieć wypada choćby stację ładowania [Freedu 80 W USB-PD](#), ładowarkę samochodową [Pepper Jobs PDQC63W](#) czy power bank [Pepper Jobs 45W USB-C](#). Te dwa ostatnie akcesoria pozwoliły przeżyć mojemu MacBookowi Pro podczas liczącej ponad siedem tysięcy kilometrów wakacyjnej podróży. Z kolei za pomocą ładowarki do tego komputera mogę ładować mojego iPhone'a XS Max, testowanego właśnie Samsunga Note 10+ czy każdy inny smartfon lub komputer, który wspiera tę technologię.

Zwiększenie napięcia i natężenia wymaga jednak także jeszcze jednego - dobrej jakości kabli. Powinny być one grubsze i dobrze wykonane. Tutaj nie ma co już oszczędzać i kupować bardzo tanie, niemarkowe przewody, które mogły sprawdzać się w przypadku wolnych ładowarek starych typów wykorzystujących port USB-A. Takie przewody powinny być także dobrze zabezpieczone przed uszkodzeniami mechanicznymi. Tego niestety nie można powiedzieć o kablach Apple i chodzi mi tu właściwie o wszystkie, które ta firma dodaje do swoich produktów, od kabli Lightning po te USB-C dodawane do nowych MacBooków. Mojego iPhone'a XS Max, jeśli nie mogę ładować bezprzewodowo, łączę z ładowarką lub komputerem za pomocą mocnego kabla [MiLi USB-C Lightning z certyfikatem Apple](#).

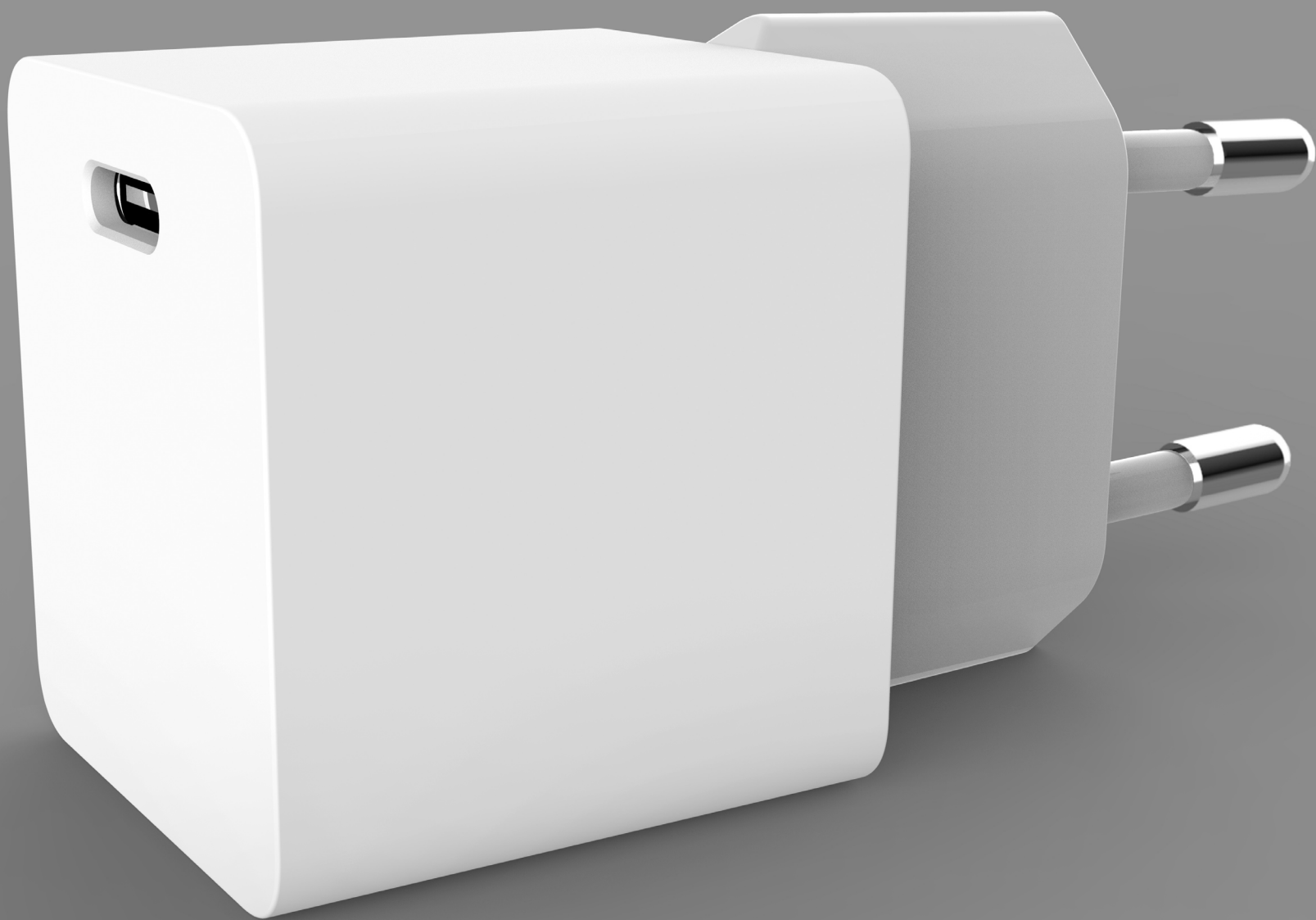
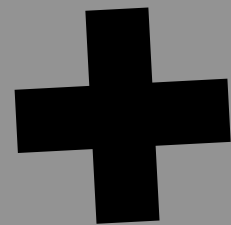
Standard Power Delivery ma jeszcze kilka innych zalet. W ramach jednego połączenia potrafi wydajnie ładować urządzenie i przysyłać pomiędzy nimi dane. Co więcej ładowanie może odbywać się dwukierunkowo. Czasem to komputer będzie dostarczał energię do podłączonego do niego akcesorium, a innym razem sytuacja może być odwrotna - nowoczesny monitor USB-C podłączany jest do komputera jednym kablem, przez który dostarczana jest do niego energia i odbywa się przesyłanie danych obrazu.

Przyznam, że coraz rzadziej sięgam po przejściówkę na USB-A czy korzystam w ogóle z akcesoriów na ten starty port. Zarówno w domu, jak i w drodze czy w samochodzie mam do dyspozycji akcesoria korzystające z USB-C i wspierające standard Power Delivery.



+PD 30min-50%

namniejsza ładowarka



SPRAWDŹ

zgsklep.pl

NetNewsWire

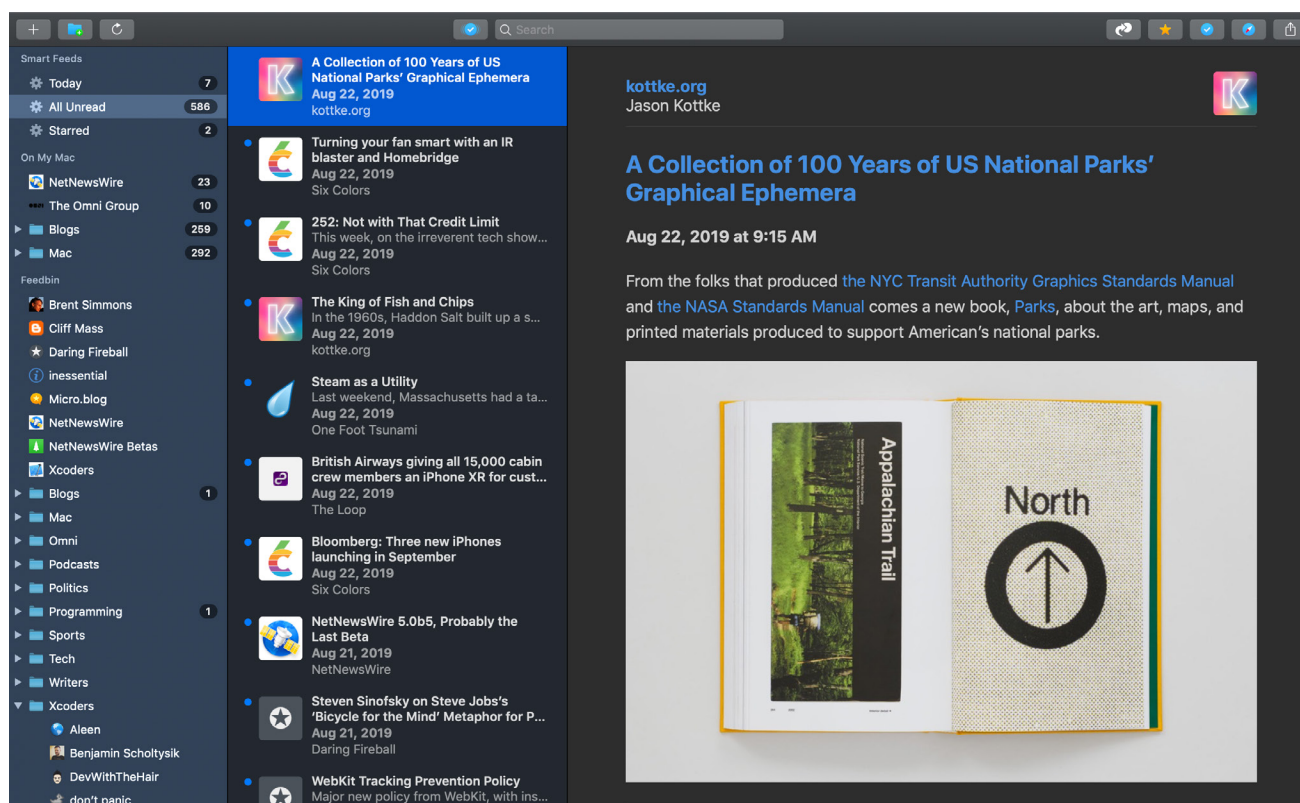
- nieśmiertelny klient RSS dla Maca



Krystian Kozerański



Kanały RSS to główny sposób, w jaki od lat przeglądam serwisy internetowe. Zamiast mozolnie wchodzić na poszczególne strony, wklepując adres w odpowiednim polu przeglądarki, mam całą listę wszystkich nowych wpisów blogowych czy artykułów, które pojawiły się ostatnio w interesujących mnie serwisach. Wszystko to dzięki kanałom RSS. Właściwie każda strona, blog czy większy serwis internetowy posiada przynajmniej jeden kanał tego typu, zawierający listę nowości. MyApple ma ich więcej, są kanały dla wszystkich nowości, wpisów blogowych czy nawet te poszczególnych autorskich blogów. Wraz z eksplozją mediów społecznościowych zaczęło mówić się nawet o śmierci RSS-ów, ale przetrwały i nic nie wskazuje na to, by miało się coś zmienić pod tym względem.



W ten sposób tworzony od 2015 zupełnie nowy klient kanałów RSS zyskał starą, dobrze znaną nazwę. NetNewsWire odrodził się niczym Feniks z popiołów.

Do przeglądania kanałów RSS można użyć osobnych serwisów, jak choćby Feedly, Feedbin czy innych. W przeszłości najlepszą tego typu usługą był Google Reader, zamknięty przez Google kilka lat temu. Wspomniane serwisy przydają się do synchronizacji przeczytanych i ulubionych wiadomości, jeśli przeglądamy kanały RSS na więcej niż jednym urządzeniu. Niezależnie jednak od tego, czy synchronizujemy je, czy też nie, najlepiej czyta się je i przegląda w dedykowanych do tego aplikacjach. W przypadku aplikacji dla Maca niemalże nieśmiertelnym weteranem, odradzającym się jak Feniks z popiołów, jest NetNewsWire stworzony przez Brenta Simmonsa.

Był to pierwszy klient RSS, z którego zacząłem korzystać na moim Macu. Niestety wtedy,

dwadzieścia lat temu, program ten nie był rozwijany dostatecznie szybko i przegrał z innymi, płatnymi aplikacjami (przede wszystkim z Reederem). Przechodził też burzliwe koleje losu. Program został kupiony przez NewsGatora, później, w 2011 roku, sprzedany dalej firmie Black Pixel. Jego autor, Brent Simmons, w 2015 roku zaczął pracować nad zupełnie nowym, darmowym i opartym na architekturze open-source klientem RSS zwanym Evergreen. Program ten był już nawet dostępny we wstępnej wersji alfa, kiedy to Simonsonowi udało się odkupić swój stary już czytnik, a właściwie jego markę - NetNewsWire - dobrze znaną użytkownikom komputerów Mac. W ten sposób tworzony od 2015 zupełnie nowy klient kanałów RSS zyskał starą, dobrze znaną nazwę. NetNewsWire odrodził się niczym Feniks z popiołów. Od około tygodnia jest on już dostępny w swojej pełnej piątej wersji.

Program zyskał nowy, odświeżony wygląd, choć oczywiście trudno tutaj o jakąś specjalną ekstrawagancję. Najlepiej czyta się bowiem kanały RSS w widoku kolumnowym. Lewa kolumna to lista subskrybowanych kanałów, a także tworzone dynamicznie listy wszystkich artykułów, które pojawiły się dzi-

siaj, tekstów nieprzeczytanych czy tych dodanych do ulubionych (oznaczonych gwiazdką). Kolumna środkowa to lista artykułów dostępnych w danym kanale, a prawa, najszerza to już podgląd treści danego wpisu. W tym ostatnim wypadku od twórcy strony emitującej dany kanał zależy, czy będzie to pełna treść artykułu lub wpisu blogowego, czy tylko jego fragment.

Synchronizacja z innymi urządzeniami za pośrednictwem tego typu agregatorów RSS przyda się zwłaszcza wtedy, gdy pojawi się wersja NetNewsWire 5 dla iOS

Na górnej belce, z jej lewej strony, znalazły się przyciski dodawania kolejnego kanału, tworzenia folderów (warto segregować kanały pod kątem tematyki czy ważności) i odświeżania wszystkich kanałów. Z prawej umieszczono przyciski pozwalające na otwarcie źródłowego tekstu w przeglądarce, dodanie go do ulubionych, oznaczenie jako przeczytany lub nieprzeczytany czy przejście do kolejnego wpisu z danego kanału. Środkową część górnej belki zajmuje wyszukiwarka (dzięki której można odszukać interesującą nas treść w subskrybowanych kanałach) i przycisk automatycznego oznaczenia wszystkich wpisów we wszystkich kanałach jako przeczytanych (przydaje się to, gdy liczba nieprzeczytanych treści urośnie, a my nie jesteśmy w stanie ich wszystkich ogarnąć). Wspomnieć wypada, że pełna wersja NetNewsWire wspiera ciemny tryb interfejsu w macOS Mojave czy Catalinie. Dzięki temu czytanie wiadomości w ciemnościach nie będzie męczące dla oczu.

Dodawanie kanałów jest proste i szybkie. Wystarczy kliknąć w ikonę z plusem na górnej belce i wprowadzić adres strony. Program

sam wyszuka odpowiedni kanał. Dodatkowo NetNewsWire 5 instaluje rozszerzenie dla przeglądarki Safari (domyślnie jest ono wyłączone), które pozwala na jeszcze szybsze dodawanie kanałów do programu. Wystarczy kliknąć w ikonę rozszerzenia na górnej belce Safari, by kanał RSS aktualnie otwartego serwisu internetowego lub bloga został dodany do listy. NetNewsWire 5 współpracować ma także z agregatorami RSS, na razie jest to jedna tego typu usługa – wspomniany na wstępie Feedbin. Brakuje mi tutaj bardzo wsparcia dla darmowego Feedly. Synchronizacja z innymi urządzeniami za pośrednictwem tego typu agregatorów RSS przyda się zwłaszcza wtedy, gdy pojawi się wersja NetNewsWire 5 dla iOS. Prace nad nią trwają.

Kanały RSS mogą być odświeżane ręcznie, po kliknięciu w ikonę na górnej belce lub przeciągnięciu listy kanałów w dół. Mogą być jednak także odświeżane automatycznie co określony czas (10 minut, pół godziny, jedna, dwie cztery lub osiem godzin).

W NetNewsWire 5 brakuje mi kilku funkcji, znanych choćby z takich programów jak Reeder. Chodzi mi tutaj o generowanie wersji do wygodnego czytania, co zwykle pozwala ominąć ograniczenie treści danego artykułu w samym kanale RSS, czy wysyłanie poszczególnych artykułów do serwisów gromadzących treści odłożone do przeczytania na później. Mam nadzieję, że szybko się one pojawią.

NetNewsWire 5 działa szybko i sprawnie. Mimo pewnych wspomnianych niewielkich ograniczeń to świetny klient kanałów RSS, rozwijany nie tylko przez Simmonsa, ale przez społeczność Open Source. Jest też dostępny za darmo. W tej „cenie” nie znajdziecie nic lepszego, a z powodzeniem może on konkurować z płatnymi alternatywami.

[Program można pobrać ze strony ranchero.com/netnewswire.](https://ranchero.com/netnewswire)

